

J. Stankiewicz.

Fotografia mojej żony.

(Zdjęcie migawkowe z krakowskiego atelier).

Mija właśnie okrągło pięć tygodni, jak wracając koło południa ku domowi, cieszyłem się już w drodze na samą myśl poobiedniej drzemki, która przemęczonemu pracą dzisiejszemu człowiekowi daje tak błogą chwilę wytchnienia i kojąco działa na nękany dołą obecną umysł biednego biuralisty. Ledwo jednak otworzyły się drzwi mego mieszkania ukazała się w nich sympatyczna twarz mej żony Kunegundy, zdradzająca jakieś zdenerwowanie. Przeczulem coś niedobrego a ciałem mem wstrząsnął dreszcz. Kundzia z miejsca zawołała:

— Czytałeś już?

— Co, Kundeczko? — pytam spokojnie, jak przystało na umiarkowanego małżonka, tymczasem...

— Czytałeś czy nie?! Odpowiadaj gamoni jak do ciebie mówię! — ponawia swą prośbę moja najdroższa.

— Niczego nie czytałem. „Nowości“ może? Jeszcze duszko nie wyszły.

W duszy mej magnifiki zawrzało, a z ust popłynął strumień nie zawsze krasomówczych zwrotów. Nim zdążyłem zdjąć paltot, wiedziałem już o wszystkim. Znowu — naturalnie — ewakuacja. Kundzia zdążyła już przeczytać cały plakat, umiała już prawie na pamięć wszystkie wyszczególnione w nim paragrafy, najbardziej jednak utkwił jej w głowie punkt, nakazujący postarać się o legitymację z fotografią.

Orzekła, że pójdziemy jeszcze dziś do fotografa, a na moją potulną uwagę, że nie jadłem jeszcze obiadu, odparła dobroliwie:

— Ale — prawda — zapomniałam. Ale widzisz o ewakuacji mówi już całe miasto, więc i ja musiałam przeczytać afisz. Przed tablicami w Rynku stały tłumy ludzi, chodziłam po całym mieście, żeby się docisnąć do plakatów. Zawsze to lepiej wiedzieć dokładnie, co człowieka czeka.

Kundzia poinformowała mnie dalej, że afisz od „a“ do „z“ przeczytała dopiero gdzieś na Wielopolu, że (rzecz jasna) nie było czasu na przygotowanie obiadu i że z tego to powodu, kupiła mi szynki za 30 halerzy, która miała mnie nasycić do wieczora. Jeżeli myślicie państwo, że skonsumowałem ją w spokoju, mylicie się srodze.

Kundzia przystąpiła od razu do swej toalety, mizdrzyła się na wszystkie strony do lustra, ale znalazła mimo to chwilę czasu, by posiłek zatruci swemi uwagami na temat oszczędności mej odnośnie do sprawiania jej nowych sukien i kapeluszy:

Zagłębiłem się w sobie i nie oponowałem. Wreszcie oznajmiła uroczyście:

— Jestem gotowa...

— A dzieci — mam ich nie chwalać się siedmioro — a dzieci, przecież i one muszą mieć także fotografie.

— Naturalnie, ale na zdejmowanie ich nie ma dziś czasu. Pójdiesz sam z nimi w niedzielę, nie będziesz chyba wymagał, żebym ja maszerowała z całą dzieciarnią naraz.

Poszliśmy tedy do fotografa. Kundzia wybrała zrazu najtańszego, potem się zastanawiała, czyby nie iść do najdroższego („taka fotografia to przecież pamiątka“), wkońcu znaleźliśmy się u mistrza, który wydawał się mej magnifice nie zbyt wymagającym ani nie za tanim, a u którego spodziewaliśmy się zastać jak najmniej klientów.

Przecucie Kundzi zawiodło niestety, odwrót z czwartego piętra, gdzie mieściło się atelier, nie był zachęcający.

W ciasnym saloniku, ze ścian którego patrzyły na nas ogromne, nienaturalnie wykrzywione twarze ludzkie, znajdowało się — nie przesadzam — z czterdzieści do pięćdziesięciu osób. Ten podkreślał wąsa, tamta poprawiała do lustra fryzurę niebotyczną, na niektórych twarzach modlitewne skupienie, inne przebiega grymas zawczasu przygotowywanego uśmiechu lub sztucznej powagi. Fotografa niema, zdejmuje w drugim gabinecie jakiegoś szczęśliwca, który zdołał pójść na pierwszy ogień, uprzedzając oczekującą potulnie gromadę. Wreszcie operacja z tamtym skończona. W drzwiach ukazuje się pan życia i śmierci.

Z miną co najmniej udzielnego księcia zwraca się w stronę klientów. W okamgnieniu pochyla się ku niemu jakaś kobiecina, czyni ruch, jakby chciała po-

całować go w rękę (nie kłamię — jak Kundzię ko-
cham) i prosi — nie — błaga:

— Chciałam sobie zamówić fotografią...

— Gabinetową czy wizytową?

— Nie, proszę łaski wielmożnego pana — ewakuacyjną!

Śmiech. Kobiecina cała w pasach, nie wie bowiem, czy przypadkiem nie obraziła fotografa. Z zamieszania chwilowego korzysta Kundzia i majestat jej wkracza tryumfalnie do gabinetu, na oszklonych drzwiach którego bieleje świeżo namalowany napis:

UPRASZA SIĘ PŁACIĆ GOTÓWKĄ!

Kości były rzucone. Fotograf stanął wobec faktu dokonanego (*fait accompli*) i rad nie rad, mimo protestów rzeszy oczekującej w drugim pokoju, musiał przystąpić do zdjęcia portretu Kundzi, a więc i mego. Kundzia trochę grymasiła, ale gdy po upływie półgodziny opuszczaliśmy atelier, na obliczu jej wy-czytałem wyraz zadowolenia. Zapłaciła za dwanaście fotografii gotówką, nie targując się wbrew zwyczajowi, upominała tylko, żeby odbitki gotowe były w umówionym terminie t. j. za tydzień.

— Zakład mój odznacza się rzadką punktualnością — z godnością odparł fotograf.

Wysliśmy. Zaledwie oddaliliśmy się kilka kroków natknęła się Kundzia na sąsiadkę swą z drugiego piętra p. Kwaśnicką, z którą *ex re* jakiegoś konfliktu na strychu znajduje się na stopie wojennej. Zamieniły jadowite spojrzenia, a Kundzia oznajmiła mi na ulicy:

— Gdybym wiedziała, że ta marmuzela Kwaśnicka da się też tam zdejmować, wcalebym tam nie przychodziła...

Stało się. Musnąłem pulchną rączkę Kundeczki i udałem się do biura, gdzie zjawiłem się o całe trzy kwadranse za późno, wytłumaczyłem się atoli szefowi, który zresztą też jest już żonaty.

Zrana w najbliższą niedzielę zabrałem dzieciarnię do fotografa, skąd wróciłem dopiero gdzieś koło czwartej popołudniu.

Tydzień, dzielący mnie od terminu, w którym miałem się zgłosić po fotografię, wydawał się małżonce mej nieskończenie długim.

— Żeby tylko dobrze mnie zrobił, bo to i dzieciom coś zostanie po matce i znajomi będą mieli uczciwy prezent...

Nareszcie przyszedł dzień upragniony. Nie wiem napewno, ale zdaje mi się, że Kundzia nocy poprzedniej nie spała, a kiedy udałem się po fotografię, (Kundzia miała dnia tego pranie) oczekiwała mnie, wychylona z okna.

Los był nieubłagany. Zziajany, dotarłem na wyżyny czwartego piętra, gdzie fotograf oznajmił mi dramatycznym głosem:

— Niestety! Nie mogę służyć odbitkami! Stało się nam nieszczęście, rura doprowadzająca wodę do zakładu pękła.

Nie zdaję sobie dobrze sprawy, w jakiej mierze przyczynia się wodociąg do fotografowania mieszkańców Krakowa, więc przypomniałem obietnicę terminowego wykonania fotografii.

Na to mistrz miał odpowiedź gotową.

— Szanowny panie! Klient znaczy dla mnie więcej, jak ojciec, co mówię, jak matka... Ale wobec klęsk elementarnych jesteśmy bezradni.

Cóż miałem począć? Poskrobałem się w łysinę i odszedłem, skłaniając się do przypuszczenia, iż fotograf ma może rację. Kundzia była zdania wręcz przeciwnego. Ile razy powiedziała mi gamoni, nie pomnę. Dlaczego sama nie poszłam — wyrzucała sobie w bezsilnej rozpacz — Ubieram się... niech go tylko zobaczę!

Wiedziałem, czemuby się to skończyło. Nastąpiły z mej strony perswazyje, prośby i — zdaje mi się — groźby. Kundzia została w domu, w dwa dni później wyrwała się do fotografa na skrzydłach. Wróciła zachrypnięta, z wypiekami na twarzy, opryskliwa, dowód, że fotografii jeszcze niema.

— Jeszcze elektryczność nie naprawiona — oświadczył jej fotograf.

— Jaka elektryczność, przecież pan mówił o wodociągu?

Przez oblicze fotografa przeszedł lekki rumieniec, ale nie stracił rezonu.

— Bo, proszę łaskawej pani, po naprawieniu wodociągu zepsuła mi się zaraz elektryczność... — odrzekł ze słodkim spokojem, który niechybnie małdziej wyprowadził z równowagi; w jakim stopniu, nie zdaję sobie sprawy, ale zachrypnięty głos Kundzonki dawał rękojmię, że nie przedko dała się przekonać. Przeżyłem kilka dni na wulkanie. Dzień w dzień wdrapywałem się na czwarte piętro i dzień w dzień dowiadywałem się w atelier: „Jeszcze nie zrobione, ale rękę wielmożnemu panu, że jutro już napewno“.

Fotograf przykładał rękę na piersi, gest ładny

i wiele mówiący, jak też można było nie wierzyć? A Kundzia, zapytacie? Obrąła znaną, wielokrotnie używaną metodę:

— Wszystko przez ciebie niedołęgo, tyś wszystkim winien.

Wiem, że winien jestem coś jeszcze krawcowi, ale w danej kwestyi Kundzia nie miała absolutnie racji. Sama przecież wybrała sobie fotografa.

Przekonać Kundzię, że było inaczej, to praca więcej jak syzyfowa, nie próbowałem tego nawet. Odwiedzałem jeszcze kilka razy solidnego fotografa, zawsze bez skutku i bez wzruszenia na jego twarz. Ta sama angielska flegma, którą obserwowałem podczas pierwszej wizyty u niego, cechowała go zawsze. Być może dlatego, iż w czasie ostatnich tygodni pocziwina, znajdujący zawsze jakiś logicznie umotywowany wybieg, dla którego nie dostarczył na termin zamówienia, zaznajomił się znakomicie z krakowskim słownikiem soczystych wyrazów, których nie szczędził mu w gorącej krwi kapani Krakowianie.

Nareszcie fatum zmiłowało się nademną.

Fotograf, zapewne wyznawca sentencji, że za wiele wzruszeń naraz szkodzi, ofiarował mi wspa-
niałomyślnie po jednej sztuce podobizn małżeńskich.

— Nie chciałem szanownemu panu zrobić zawodu. Na legitymację na razie wystarczy, reszta jutro, napewno jutro! Muszę jednak szanownemu panu zwrócić uwagę, że materiały podskoczyły w cenę, będę prosił o łaskawe dopłacenie jeszcze dwóch koron do zapłaconej już kwoty.

— Przecież wiedział pan o tem przy zamówieniu!

— Niestety, szanowny panie, dopiero przed kilku dniami dowiedziałem się.

Zapłaciłem, westchnąłem i rad, że zdobyłem choć dwie podobizny, pędzę do domu, chcąc pochwalić się Kundzi zdobytym tak trudno plonem mej niekończącej się wędrówki.

Po drodze spojrzałem na fotografię i na głowie stanęły mi włosy (te, które jeszcze posiadam).

Nie używam alkoholu, tymczasem odbitka, trzymana w rękę, przedstawiała jakiegoś notorycznego opoja z ogórkowatym nosem i nabrzmiałymi policzkami. Głupstwo — pomyślałem, byle tylko Kundzię utrafił.

Rzucam okiem na drugą fotografię i czuję, jak nogi podemną zaczynają drżeć.

Biedna Kundziu! Co powiesz na tą przebłydlą wiedzmę, którą przypominać ma twa osoba!

* * *

Żona moja była dnia tego w wyjątkowym usposobieniu. Zdarzyło się jej jakieś nieporozumienie z panią Kwaśnicką przy trzepaniu dywanów, a smutny ten epizod zaważył na szali przeznaczeń.

Drżącym głosem oznajmiłem:

— Mam już fotogr...

Nie skończyłem jeszcze, gdy trzymany w rękę kartonik dostał się w ręce Kundzi.

— Kto to ma być? — z ostrym świstem prze-szywa powietrze.

— No ty, kotusiu!...

— Ja? — jęknęła i Kundzia opadła bezwładna na fotel. Fotografia, wypuszczona z rąk, dostaje się w łapki mej trzyletniej córeczki, dziecka nad wyraz rozwiniętego i inteligentnego.

— Tatusiu, a co to za całownica? — sepleni.

To miało ukoronować dzień nieszczęsny. Kundzia przyszła do przytomności. W ferworze zaczęła mówić tak głośno, że ludzie przystawali na ulicy, a niechęć (tak chce wierzyć) zrzuciła ze stołu na ziemię lampę (koron 6) i dwie filizanki (koron 5, bo trzeba odkupić cały serwis do kawy). Córeczka na widok gromowładnej Kundzi zidentyfikowała ją widać z czarownicą, bo zalekła się ogromnie i dostała spazmów. Reszta dzieciarni rozpoczyna koncert.

A Kundzia niczego nie widzi i nie słyszy, powtarza tylko na odmiany: Tyś wszystkiemu winien! lub: Wiedziałam, że ta Kwaśnicka przyniesie nieszczęście!

Zropaczony biegnę po dorózkę i sprowadzam po długim szukaniu lekarza do dziecka. Dorózka kosztuje mię 1 K. 50 h., lekarz znajomy zadowalnia się honorarium w kwocie koron 6, za lekarstwo płacę aptekarzowi 3 K. 40 h., fotografowi przy zamawianiu fotografii wręczyła Kundzia 12 K., potem ja dołożyłem 2 K. zliczwszy wszystko sumarycznie otrzymamy 35 K. 90 h.

Za tę kwotę mam dwie otrzymane do tej pory kryminalne podobizny, awantury w domu i chorobę dziecka. Reszty zysków nie liczę...

K O N I E C.